

ŻYCIE Z PROBÓWKI

45 lat temu, 25 lipca 1978 r., w Wielkiej Brytanii przyszło na świat pierwsze dziecko narodzone dzięki metodzie in vitro. W Polsce udało się to dziewięć lat później w Białymstoku. Na zdjęciu wykonanym w białostockiej klinice – wprowadzenie plemnika do cytoplazmy komórki jajowej

Całkiem przeciętny zbój

Janosik bogatym zabierał, ale biednym niczego nie dawał, a nie grabił ich tylko dlatego, że nic nie mieli

2

Bójcie się, rudzi nadchodzą

W historii jest mnóstwo wodzów i władców, którym rude włosy nie przeszkodziły wdrapać się na szczyt

3

W górach, na Rusi

Dla jednych ta ziemia to Ruś Zakarpacka, dla innych – Ruś Podkarpacka, a dla miejscowych Ruś Karpacka

6

Skąd się wzięła sława Janosika?

CAŁKIEM
PRZECIĘTNY
ZBÓJ

Bogatym zabierał, ale biednym niczego nie dawał.
Nie grabił ich tylko dlatego, że niczego cennego nie mieli.

ROZMOWA Z

PROF. STANISŁAWEM SROKĄ

ANDRZEJ BRZEZIECKI: Co roku w sierpniu w Terchovej na Słowacji odbywa się międzynarodowy festiwal muzyczny Janosikowe Dni. Kogo tu upamiętniać – zbója i rzeźmieszka?

PROF. STANISŁAW SROKA: To jest nawet największy festiwal muzyczny na Słowacji, bo tam Janosik jest traktowany jako bohater narodowy...

Powiedzmy od razu – Janosik nie był Polakiem.

– Był Słowakiem, urodził się właśnie w Terchovej w 1688 r., a na chrzcie otrzymał imię Juraj, czyli Jerzy, o czym w Polsce się nie pamięta. Juraj Janosik jeszcze w czasach komunizmu był kreowany na słowackiego bohatera z ludu, który walczył o niepodległość Słowacji z Węgrami i Habsburgami.

Bywało, że gdy na pograniczu polsko-słowackim spotykali się prezydenci obu państw, rozmowa naturalnie schodziła na Janosika. Spierano się, czy to był Polak, czy Słowak. A przecież Węgier jeszcze by dodał, że był obywatelem państwa węgierskiego, bo urodził się w jego granicach.

A sam festiwal jest muzyczny, bo postać Janosika kojarzy się z folklorem i pieśniami na jego cześć, które miały śpiewać dziewczyny z Terchovej, gdy Janosik obdarował je pierścionkami.

Ale jest jeszcze gorzej – Janosik nawet nigdy nie był na terenie Polski... Podczas spływu Dunajcem flisacy pokazują miejsce, w którym miał przeskoczyć rzekę, ale to tylko legenda.

Dlaczego więc Janosik jest tak popularny w Polsce?

– To dzieło przypadku. Podania o nim trafiły na dobry czas, a potem kinematografia zrobiła swoje – Janosik doczekał się kilku ekranizacji. Każde góry mają swojego zbója, a jak pisał Tetmajer, Janosików jest tylu, ile podań o nim. Legendarny Janosik jest znacznie ciekawszy od historycznego – ale badanie jego legendy to już zajęcie dla etnografów, by opisali, jakie tęsknoty i pragnienia ludu wyrażały podania o zbójach.

Pogranicze polsko-węgierskie, którego centralny punkt to Karpaty, było chyba wymarzone dla zbójnictwa?

– Dlatego banda Janosika nie była pierwsza. Tacy jak on działali tam już w XV w. Pogranicze było trudnym obszarem handlowym. Po obu stronach było sporo miast

i miasteczek, które prowadziły intensywny handel od czasów średniowiecza. Zараzem góry sprawiały, że dróg było niewiele. Nie dość, że węgierscy celnicy pobierali jedną trzydziestą wartości towaru, to jeszcze grasowali zbóje. Po obu stronach próbowano temu zaradzić. Oskarżano się wzajemnie o tolerowanie zbójnictwa, domagano się reakcji, ale proceder trwał.

Zdaje się, że część lokalnych możnych była zblatowana ze zbójami.

– A niektórzy możni sami grabili. Od XV w. wielu żupanów widziało dobry interes w zbójnictwie – współpracowali z bandami, czasem dawali im schronienie.

To sprawiało, że trudno było ukrócić cały proceder. Warto dodać, że chłopci i pastyrze też często współpracowali ze zbójami, pili z nimi, bawili się. Oddawali im owce, a potem mówili, że zostali ograbieni.

W XV w. działał w okolicach Barwałdu Włodek Skarżyński, który wraz z żoną Katarzyną grabił ludzi. Zresztą owa Katarzyna wydaje się całkiem ciekawa.

– Dużo ciekawsza od Janosika. Włodek Skarżyński i Katarzyna zbójowali na wielką skalę. W dzisiejszych czasach Katarzyna jako zbój w spódnicy świetnie nadawałaby się na ikonę popkultury. Była lepszym zbójem, a może nawet trzeba powiedzieć: zbójniczką, od małżonka. W rocznikach głogowskich czytamy pod rokiem 1458, iż „rządziła się tak twardo i po męsku, że męża swego pozostawiła niczym strażnika na swym zamku, sama zaś zabrawszy ze sobą czeladź, grabiła mieszkańców innych grodów”. Na swym zamku miała nawet mennicę i wypuszczała fałszywy pieniąż, za co groził wówczas stos. Na jednym z sejmów zastanawiano się wraz z królem, jak uporać się z Katarzyną. Jej postać aż się prosi o film.

Skąd czerpiemy wiedzę o Janosiku?

– Najważniejszym źródłem jest odpis protokołu przesłuchania go przed sądem w 1713 r. w Liptowskim Mikulaszu. Wiemy, co powiedział prokurator i co mu zarzucał, znamy argumenty obrońcy. Znamy także pytania, jakie zadawali przedstawiciele lokalnych władz, czyli żup liptowskiej i trenczyńskiej. Także obrabowani kupcy mieli prawo zadawania pytań i je znamy.

No i chyba ciekawe są odpowiedzi samego Janosika?

– Z tym jest gorzej, bo Janosik odpowiedział tylko na niektóre pytania, a w innych przypadkach kręcił. Wysłano go na tortury. Tu jako mediewista dodam, że tortury w pro-

cesie sądowym w średniowieczu były stosowane rzadko. Dopiero w czasach nowożytnych zaczęto je wprowadzać. Na torturach Janosik uzupełnił trochę swoje odpowiedzi.

Ponadto znamy też akt chrztu Janosika z 1688 r. w parafii w Varinie, bo w Terchovej nie było kościoła. Tam wymienieni są jego rodzice i rodzice chrzestni.

Choć tu wciąż trwa spór słowackich badaczy. Jurajów Janosików chrzczonych było wówczas kilku, bo to popularne nazwisko.

Skąd wiemy, który jest tym właściwym?

– Kluczem do rozwiązania zagadki jest postać jego brata Jana. Wiemy, że był starszy, a z uznawanego do tej pory za właściwy aktu chrztu wynikałoby, że Jan był młodszym. To jednak drobiazgi, chodzi o ustalenie, czy Juraj był chrzczony w styczniu, czy w maju 1688 r. Data roczna urodzin Janosika jest pewna.

Są jeszcze dwa pomniejsze dokumenty na jego temat, możemy więc całkiem przyzwoicie odtworzyć biografię zbója. Nie o każdym człowieku z XVII w. można tyle powiedzieć, co o Janosiku.

Kariera zbójcka Janosika trwała dwa lata. Czy to, biorąc pod uwagę ryzyko zawodowe, było dużo?

– Taki był mniej więcej standard. Na pograniczu Polski i ówczesnych Węgier od średniowiecza grasowały bandy i zazwyczaj właśnie po dwóch latach były wylapywane.

W poprzedniej epoce Janosik przedstawiany był jako zbuntowany przedstawiciel klasy ciemnej przez panów i zaborców. Czy mu to dopisano do życiorysu? Brał przecież udział w powstaniu antyhabsburskim.

– Właśnie z protokołu procesowego wiemy, że Janosik jako młody chłopak był uczestnikiem powstania Franciszka Rakoczego, które trwało od 1703 r. do 1711 r. Powstańców nazywano kurucami. Tyle że nasz Juraj opuścił szeregi powstańców jeszcze przed ich porażką i grzecznie wstąpił do habsburskiego wojska. To nie pasuje do narracji, że walczył o niepodległość ludu Słowacji.

Ale służba w wojsku okazała się przełomem w jego życiu.



• Janosik w różnych wersjach: na drzeworycie Władysława Skoczylasa z 1914 r., siedmioletni żelazny monument autorstwa Jána Kulicha w słowackiej Terchovej oraz z serialu Jerzego Passendorfera z 1974 r., w którym główną rolę zagrał Marek Perepeczko



FOT. ZBIORY MUZEUM ZUP KRAKOWSKICH W WIELICZCE

FOT. JAROSLAV MORAVICKY/SHUTTERSTOCK

FOT. EAST NEWS/POLIFILM

– Służył jako klawisz na zamku w Bytczy. A tam siedział za kratami groźny lotr i zbój Tomasz Uhorczik. Obaj, czyli więzień i jego stróż, musieli dość długo ze sobą rozmawiać i chyba się polubili. Dość powiedzieć, że kiedy Janosik odszedł z wojska i wrócił na rolę do Terchowej...

Przepraszam bardzo, na jaką rolę?

– Bo pan, myśląc o Janosiku, ma przed oczami herosa, który jak Marek Perepeczko swym torsem zniewala pleć piękną, zaś mężczyźni wprawia w kompleksy i nakłania do rozważań o wyprawie do słońca. Tymczasem Juraj Janosik był zwykłym chłopem i jego rodzice chcieli, by robił na rolę do Terchowej...

Ale nie dał się przywiązać do pluga!

– Bo odnalazł go zbój Uhorczik, który uciekł z więzienia i namówił go do zbójowania. Sam żył jako baca Tomasz Mrowiec, ożenił się i usunął w cień. Bandę powierzył Janosikowi. A ten – młoda krew – chciał może przygód i się zgodził. Zszedł tym samym na złą drogę. W 1711 r. został hersztem bandy.

Zawsze to jakaś kariera w młodym wieku.

– Proszę pana, ale co to była za banda... Ich napady były mizerne i łupy także. W sumie miał pod sobą może 20 ludzi. A znamy bandy i stuosobowe. Ponadto wiemy z dokumentów, że Janosika nawet koledzy okradali. Był to więc całkiem przeciętny zbój, dokonujący przeciętnych napadów, który potem musiał chronić przed kompanami to, co ukradł.

Janosik składał przysięgę zbójceją. Zbójce mieli swój kodeks?

– Mieli, ale niewiele z niego wynikało. Zbójce mieli przysięgać, że będą unikać rozlewu krwi i czynić sprawiedliwość. Tymczasem doszło do dwóch morderstw, z których jedno przypisano Janosikowi. Na procesach zbójce sypani się nawzajem. Ponadto okradali się bez pardonu. Tam nie było solidarności żadnej ani żadnego lotrzykowskiego romantyzmu. Jeśli Janosik był lotrem, to na pewno nie był to ten dobry lotr.

Czyli nie zabierał bogatym i nie dawał biednym?

– Bogatym, owszem, zabierał, ale biednym niczego nie dawał. Biednych zresztą nie grabił tylko dlatego, że ci niczego cennego nie mieli. Wiemy jedynie, że raz skradzione pierścionki rozdał wspomnianym już dziewczynom z rodzinnej wsi. Wymieniał je z nazwiska podczas procesu. Może to, że one potem o nim śpiewały, było początkiem jego wielkiej legendy.

Co grabił?

– Raz jego banda złapała pocztowego. Ten ich poczęstował tytoniem i zdradził, że niebawem tą samą drogą do Turca będzie jechał niejaki Jan Radwanszky. Zbójce zabrali pocztowemu tytoń, a Radwanszkiemu zrabowali juki. Na Żarach w pobliżu Turca napadli z kolei na hrabiego Pawła Révaia i zabrali mu srebrną szablę. Janosik zatrzymał ją dla siebie, ale potem skradł mu ją kompan. Pod zamkiem Streczno banda Janosika ograbiła plebana z Orawy, zabierając mu kapelusze oraz mantylkę. Janosik grabił też kupców z Żyliny, zabierając im sukno, wyroby skórzanego, biżuterię i pieniądze.

Sam pan widzi, że to nie był imponujący urobek.

Jego ludzie zabilili proboszcza z Demanicy – co zdecydowało o wyroku śmierci dla niego, ale bulwersujące było też ograbienie wdowy po oficerze cesarskim.

– Janosik twierdził, że duchownego zabił jego kompan, niejaki Huncaga. Ale sąd nie dał mu wiary. Te zbrodnie i przestępstwa przeczą jakiegokolwiek szlachetności Janosika. Napadał na wszystkich, którzy się natoczyli na drodze. Żadnej etyki ci zbójce nie mieli.

Janosik został złapany po raz pierwszy w 1712 r., ale szybko wyszedł na wolność.

– Podżupan liptowski znalazł się dobrze z Uhorczikiem. Wypuścił Janosika za pięć lisich skórek i siedem serów.

Janosik nie był Polakiem, ale w jego bandzie byli chociaż Polacy?

– A i owszem, byli to zbójce Wawrek, Satorra i Gawel. Banda Janosika, ale także inne były całkiem multi-kulti, bo rekrutowały się z Polaków, Czechów, Słowaków, Wołochów i Rusinów. Zachował się list jednej z band z XV w., w którym zbójce domagali się okupu. Miał on być umieszczony w klasztorze w podkrakowskiej Mogile albo na Węgrzech.

Byli prekursorami małego ruchu granicznego albo strefy Schengen?

– Z pewnością mieli całkiem szerokie horyzonty. Ciekawe zresztą, czy mnisi cysterscy z Mogiły wiedzieli, że ich klasztor jest punktem kontaktowym w międzynarodowym procederze zbójcekim?

W każdym razie badaczy ciekawiło, w jakim języku się porozumiewali. Otóż wspomniany list domagający się okupu po analizie językowej wskazuje na naleciałości polskie, czeskie, ruskie i słowackie. Zbójce więc mówili po swojemu, w języku pogranicza.

Wiosną 1713 r. Janosik został schwytany i osadzony w Liptowskim Mikulaszu. Sąd nad nim był sprawiedliwy?

– Myślę, że tak. Odbywał się zgodnie z procedurą. Obrońca użył bardzo nowoczesnych argumentów – mówił, że Janosik pochodził z biednej rodziny, że po wstąpieniu do armii napatrzył się na przemoc i morderstwa. To go miało zdemoralizować.

Trudne dzieciństwo, ofiara systemu?

– Dziś to by były mocne argumenty. Obrońca domagał się ulaskawienia. Sąd jednak skazał go na śmierć.

Bandę Janosika oskarżano o czary i profanację hostii. Temu zaprzeczali, ale czy dociekania sądu w tym kierunku nie mówią nam o tym, że taki proceder musiał być częsty?

– Nie wydaje mi się. Na pewno takie zarzuty były zbójom stawiane. Zarzucano im, że po dokonaniu kradzieży hostii przybijali ją do drzewa, a następnie po jej przekrwawieniu mieli smarować nią broń w celu jej uodpornienia. Sąd był ciekaw, czy rzeczywiście z hostii płynęła krew i do czego zbójnicy jej używali, ale niestety Janosik na te pytania nie udzielił żadnych odpowiedzi. Być może w jego bandzie takich praktyk nie stosowano.

Janosika powieszono na haku wbitym w lewy bok. Jego brat Uhorczik i jeszcze jeden zbój zginęli inaczej – na subienicy, poprzez łamanie kołem albo ścięcie mieczem. Skąd taka różnorodność technik w ówczesnym wymiarze sprawiedliwości?

– Zapewne chciano uhonorować Janosika jako herszta. Wieszanie na haku było przywilejem.

Dziękuję bardzo za taki przywilej.

– Według legendy Janosik trzy dni wisiał na haku i palil sobie fajkę. Fajka, niestety, zaginęła.

Za to zachowały się czapka i ciupaga. Czapka była na początku XX w. przedmiotem sporu węgiersko-słowackiego. Po co Węgrom czapka słowackiego zbójca?

– Węgierscy muzealnicy po prostu domagali się artefaktu. Spór zresztą zmotywował Słowaków do utworzenia liptowskiego muzeum w Rużomberku, gdzie oddano czapkę. Wcześniej bowiem leżała sobie zakurzona gdzieś w magazynie. Nawiasem mówiąc, to nie była taka czapka, w jakiej swe wdzięki roztaczał na ekranie Marek Perepeczko i którą znamy z etykiet na licznych produktach spożywczych, zwłaszcza

Wczoraj, czyli dziś

Bójcie się, rudzi nadchodzą

W historii jest mnóstwo wodzów i władców, którym rude włosy nie przeszkodziły wdrapać się na szczyt

Maciejewska



„Pamiętajcie o tym ryżym, bo to jest największe zagrożenie dla Polski” – ogłosił Jarosław Kaczyński w Stawiskach. W zasadzie złożył hołd Donaldowi Tuskowi i wszystkim rudielcom. Rude włosy to fryzjerski hit sezonu, a w historii politycznej znak szczególnie wielu wybitnych polityków.

Rudzi są elitą, zaledwie jedna na 50 osób ma rude włosy, więc kiedyś traktowani byli jak odmienicy, prowokujący do prześladowań. Od starożytności mieli problemy, bo przypisywano im ognisty temperament, gwałtowność i skłonność do zdrady.

Rudowłosy był demoniczny Set, w mitologii egipskiej pan pustyni, burz, ciemności i chaosu, któremu – jeśli wierzyć Plutarchowi – składano ofiary z ludzi o takim samym kolorze włosów. Ruda szczecina porastała zbuntowanego przeciw Zeusowi olbrzymia Tyfona, którego również – jak twierdził Diodor z Sycylii, grecki historyk z I wieku p.n.e. – karmiono ofiarami z rudielców. Rudzi byli także nordycki straszliwy bóg Thor i Loki, demon ognia, siejący zło i zniszczenie ojciec potworów.

Średniowiecze chrześcijańskie uczyniło rudość kolorem kłamstwa i zdrady. „Oczywiście na przestrzeni całego średniowiecza rudy, podobnie jak to było w starożytności, jest okrutny, krwiożerczy, szpetny, gorszy lub śmieszny; z czasem jednak akcent przesuwają się w stronę fałszu, kręactwa, kłamstwa, oszustwa, niewierności, perfidii i wiarolomstwa” – pisze Michel Pastoureau w książce „Średniowieczna gra symboli”. Ludzie oglądali na ołtarzowych obrazach rudego Judasza Iskariotę i rozwiązała Marię Magdalenę w aureoli czerwonych włosów, słuchali opowieści o rudym Mordredzie, synu króla Artura zdradzającym ojca, i o rycerzu Ganelonie, który armię Karola Wielkiego wystawił Saracenom.

Z czasem, jak pisze Pastoureau, rudość rozleje się na innych wykluczonych i wyklętych: herezyków, żydów, muzułmanów, kobiety podejrzewane o uprawianie czarów, oszustów, trędowatych, kaleki, samobójców, żebraków, włóczęgów, nędzarzy i wszelkie-

go rodzaju ludzi marginesu. Zostanie uzupełniona przez znaki i oznaczenia na odzieniu, w kolorze czerwonym lub złotym, jakie ludzie z tych grup społecznych musieli nosić. Stanie się najważniejszym ikonograficznym znakiem odrzucenia.

W historii jest cała rzesza wielkich wodzów, królów oraz cesarzy, którym rude włosy nie przeszkodziły wdrapać się na szczyt i którzy rzucali na kolana narody. Wprawdzie Mark Twain (rudy i błyskotliwy, co często chodzi w parze) twierdził, że „gdy rudowłosi są powyżej pewnego stopnia społecznego, ich włosy stają się kasztanowe”, ale rudzi u władzy rudości nie musieli się wstydić.

Możemy nie pamiętać, że rudy był Winston Churchill – znamy go z czarno-białych zdjęć – ale kto nie słyszał przydomka „Barbarossa” (Rudobrody), który dostał cesarz Fryderyk z rodu Hohenstaufów. Jego władza rozciągała się na Rzeszę Niemiecką, obejmowała połowę Włoch i kawał dzisiejszej Francji z Belgią. Politycznie i prawnie umocnił Cesarstwo Rzymskie, ponadnarodowe Imperium Romanum. Po śmierci stał się bohaterem legendy eschatologicznej; uśpiony w górach Turynii, ma się obudzić przed końcem czasów, aby przywrócić Niemcom dawną wielkość. A stanie się to wówczas, gdy jego ruda broda trzy razy owinie się wokół stołu, przy którym zasnął, co oczywiście może uzasadniać lęk Kaczyńskiego przed rudymi.

Ognieści rudzi byli szach Iranu Ismail I (1487-1524), założyciel dynastii Safawidów panującej do 1736 r. (piękny portret wisi w galerii Uffizi, szach ma imponującą brodę), i Izabela Kastylijska, która wysłała Krzysztofa Kolumba do Nowego Świata, kładąc podwaliny pod hiszpańskie imperium kolonialne.

Z rudych włosów znani byli też król Anglii Henryk VIII Tudor i jego córka Elżbieta I. Nosząc peruki, mogła pokazywać się jako blondynka albo brunetka, jednak rude włosy i biała skóra stały się jej znakiem firmowym. Rudy stał się modny, a dworzanie, którym nie trafil się szczęśliwy gen, farbowali włosy i brody sokiem z rabarbaru lub olejem wtritolowym.

Na razie fryzjerzy ogłosili, że rudy rządzi, ale kolor się już przyjął, więc Jarosław Kaczyński słusznie ostrzega: ogień coraz bliżej. ●

Beata Maciejewska

– historyczka, dziennikarka i publicystka „Gazety Wyborczej”

napojach. Miała kształt cylindra i bardziej przypominała nakrycia głowy egipskich królów.

Jak Janosik lokuje się na mapie legendarnych buntowników i zbrojów? Z Robin Hoodem i Wilhelmem Tellem chyba nie może się równać pod względem popularności?

– Zachód o Europie Środkowej wie mało. A jednak Janosik znalazł się w encyklopedii Larousse’a. Pierwszy film o nim nakręcony jeszcze w dobie kina niemej, w 1921 r., uchodzi za jedną z najważniejszych produkcji filmowych w historii kina. Inna ekranizacja przygód Janosika nakręcona w latach 60. pozostaje najbardziej kasowym filmem w historii słowackiej kinematografii.

Oczywiście Janosik jest najbardziej popularny w Polsce i na Słowacji. Już kilka kilometrów na południe od Krakowa zaczynają się restauracje i pensjonaty z Janosikiem w nazwie. Jego nazwisko weszło na trwałe do języka polskiego – kiedyś jeden z podatków nazywano janosikowym. Serial Jerzego Passendorfera o Janosiku telewizja pokazuje każdego lata, więc niewiele wskazuje na to, by ta popularność szybko przeminęła.

Za to film Agnieszki Holland już nie okazał się takim fenomenem.

– Perepeczko stworzył wspaniałą kreację. Oglądałem ten film także w towarzystwie Słowaków – oni też przyznawali, że robi wrażenie. Film Agnieszki Holland mógł być ciekawym eksperymentem, bo w roli słowackiego zbroja obsadzono czeskiego aktora. Niestety, nie przebił on Perepeczki, nawet się do niego nie zbliżył. Ponadto Janosik w filmie Holland ma zbyt wiele cech Hamleta. Ciągłe zastanawia się, czy napaść, czy nie napaść, a jak już napaść, to ma rozterki, czy jednak nie oddać łupu. Prawdziwy zbroj nie powinien mieć takich dylematów. Zabawne i kuriozalne, że po premierze jakieś środowiska góralskie protestowały, iż Agnieszka Holland ukazała góralki jako zbyt łatwo oddające się Janosikowi, co miało ubliżać godności mieszkanki Podhala. Jak widać, przynajmniej na nich film zrobił wrażenie.

Ma pan profesor jakieś suveniry związane z Janosikiem w domu – choćby magnes na lodówkę?

– Nie. Nawet nie mam ciupagi z Zakopanego. Gdy byłem w Terchovej, chciałem kupić jakąś książkę o nim. Ale nie było. ●

Prof. Stanisław Sroka

● Jest historykiem. Specjalizuje się w stosunkach polsko-węgierskich w epoce średniowiecza oraz kontaktach intelektualnych polsko-włoskich w dobie renesansu. W latach 2008-12 był dyrektorem Instytutu Historii UJ, a od 2020 r. jest dziekanem Wydziału Historycznego UJ. Opublikował m.in. książki: „Książę Władysław Opolczyk na Węgrzech. Studium z dziejów stosunków polsko-węgierskich w XIV wieku (Kraków 1996)”, „Janosik. Prawdziwa historia karpacczego zbroja” (Kraków 2004), „Jadwiga Zapolya. Piastówna śląska na Węgrzech w dobie panowania Jagiellonów” (Kraków 2005) ●



● Dr Robert Edwards trzyma na rękach Louise Brown, pierwsze dziecko narodzone w wyniku zapłodnienia in vitro. Doszło do tego 25 lipca 1978 r. w szpitalu w Oldham w Wielkiej Brytanii. Współtwórcami sukcesu byli ginekolog Patrick Steptoe i embriolożka Jean Purdy FOT. KEYSTONE/GETTY IMAGES

45 lat temu urodziło się pierwsze „dziecko z probówki”

BOGOWIE Z PODLASIA

Rodzicom Louise Brown życzenia przysłał nawet papież Jan Paweł I. Ale już jego następcą in vitro uważał za grzech. W Polsce pierwsze zapłodnienie pozaustrojowe przeprowadził w 1987 r. zespół prof. Mariana Szamatowicza z Białegostoku.

**Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski**

W

W połowie lat 80. Halinka przeprowadziła się z Białegostoku do oddalonego o 50 km Bielska Podlaskiego, gdzie pracowała w laboratorium. Pamięta, co ona i jej koleżanki myślały wtedy o prof. Szamatowiczu. „Byłyśmy dumne – wspomina – a w całym szpitalu w Bielsku nie było nikogo, kto by nie interesował się in vitro”.

Po stanie wojennym, gdy region popadł w stagnację, jednym z nielicznych jasnomyślnych punktów była tu akademicko-medyczna, a w niej – badacze odpowiedzialni za polskie in vitro.

„Większość pracowników naszego szpitala – wspomina Halinka – to były dzieci ludzi prostych, nierzadko ze wsi. Wielu pasło krowy w dzieciństwie i dokonania profesora były dla nas czymś więcej niż tylko wsparciem bezdzietnych par. Pośrednio stały się

potwierdzeniem naszego własnego awansu. Dawaly też nadzieję, że nasze dzieci nie będą musiały jechać do Warszawy na studia, bo w Białymstoku znajdą lepszych nauczycieli”.

Na sukces prof. Szamatowicza spojrzmy więc nie tylko z podlaskiej czy polskiej, ale i z szerszej, ogólnoludzkiej perspektywy.

Ale najpierw rys historyczny.

DUSZA W SPERMIE

Już greccy i rzymscy myśliciele spierali się o to, czy istnieje żeński ejakulat, bo co do męskiego nie było wątpliwości. Zwolennikiem dwóch nasion był m.in. Arystoteles (384-322 p.n.e.), który głosił, że kobiecy materiał jest gorszy. Później antyczny lekarz, który podszycił się pod Arystotelesa, dawał, że szyjka macicy podczas stosunku, jak penis, ulega wzwodowi i dochodzi do kobiecego wytrysku.

Przekładało się to na wizję zapłodnienia i ci, którzy twierdzili, że jest tylko męskie nasienie, postrzegali kobietę jak magazyn, gdzie rozwija się człowiek. Uważali też, że w spermie znajduje się malutki, ale już ukształtowany ludzik, homunculus. Rozpropagowali to filozofowie rzymscy Ciceron (106-43 p.n.e.) i Seneka Młodszy (4 p.n.e. – 65 n.e.). Jeszcze w XVII w. wyznawcą tej koncepcji był Holender Anto-

ni van Leeuwenhoek, który za pomocą wynalezionej przez siebie mikroskopu mógł obserwować plemniki. Przez wieki sądzono, że nasienie pochodzi z mózgu i spływa rdzeniem kręgowym.

Istniały też dwie koncepcje pojawienia się duszy. Zgodnie z tzw. równoczesną, zwaną przez zwolenników jednego nasienia, pierwiastek boski był w spermie od początku lub pojawiał się w chwili „skrzepnięcia” w macicy. Tak pisał jeden z czołowych myślicieli wczesnochrześcijańskich, Tertulian (ok. 150-240).

Zwolennicy Arystotelesa przekonywali, że dusza pojawia się w efekcie animizacji wtórnej dopiero w zarodku, ale rozróżniano zarodki męskie i żeńskie – do chłopców dusza przychodzi po 40 dniach od zapłodnienia, a do dziewczynek po 80. Tak też mówił jeden z najważniejszych teologów katolicyzmu, Tomasz z Akwinu.

PALEC DO BUDKI

Równie stara jest refleksja nad niepłodnością, przez tysiąclecia najczęstszym sposobem walki z nią była... poligamia. Przyjmowano, że problem leży po stronie kobiety, więc mężczyzna szukał kolejnej partnerki. Choć bywało, że stosowano środki wspierające żeńską płodność – Hipokrates 450 lat p.n.e. zalecał mikstury z kminu i miodu w celu rozszerzenia szyjki macicy.

Dopiero w renesansie inaczej spojrzano na niepłodność. Bartolomeo Eustachi (ok. 1500-1510 – 1574), anatom, odkrywca słuchowej trąbki Eustachiusza, w połowie XVI w. radził, by po stosunku mężczyzna trzymał w pochwie partnerki palec. Rozwiązanie w duchu dzisiejszego zapłodnienia wspomaganego, a Morice Philippe, współczesny francuski ginekolog, w „Historii niepłodności” dostrzega tu wręcz „pierwowzór sztucznego zapłodnienia”.

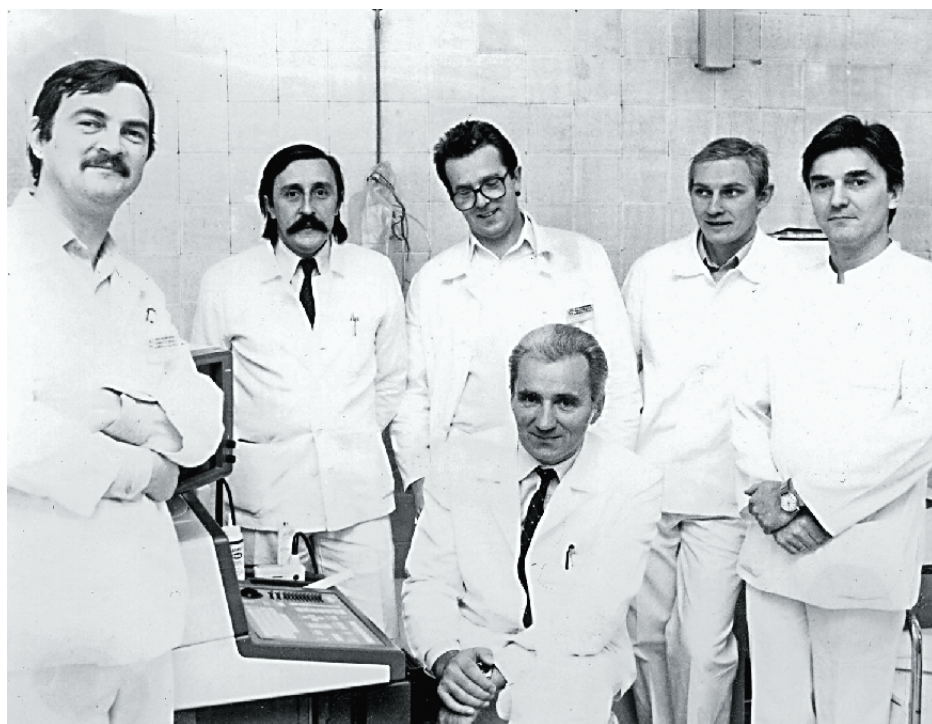
Kolejnym krokiem w leczeniu niepłodności okazały się rozważania angielskiego biologa Williama Harveya (1578-1657), który zakwestionował samoródtwo i ukuł zasadę omne vivum ex ovo, a więc „wszystko, co żywe, pochodzi z jaja”. Otworzyło to drzwi dalszym eksperymentom. W drugiej połowie XVIII w. włoski przyrodnik Lazzaro Spallanzani (1729-99) schładzał nasienie i odkrył, że temperatura przekłada się na ruchliwość plemników, po czym dokonał pierwszego sztucznego zapłodnienia u zwierząt, wstrzykując sukom psi ejakulat.

A stąd krok do pierwszego udanego sztucznego zapłodnienia u człowieka, ale in vivo, a więc w organizmie kobiety. Doszło do niego w 1776 r. w Londynie. Wybitny chirurg John Hunter (1728-93) zastosował tę procedurę wobec kobiety i jej męża ze spodziectwem, czyli leczoną dziś wadą penisa. Podczas stosunku ejakulat mężczyzny nie trafił do pochwy. Medyk zebrał nasienie do podgrzanej strzykawki i wstrzyknął kobiecie. Po dziewięciu miesiącach urodziło się dziecko.

WATYKAN OBURZONY

Metoda nieskomplikowana, a mimo to odsetek niepowodzeń był duży. James Marion Sims (1813-83), amerykański ojciec ginekologii, ale też lekarz kontrowersyjny, oskarżany o eksperymenty na czarnoskórych, w połowie lat 50. XIX w. opisał 55 prób sztucznego zapłodnienia in vivo, które wykonał, ale tylko raz urodziło się żywe dziecko. Powodem były niemożliwe jeszcze do zdiagnozowania choroby oraz brak wiedzy o aseptyczności.

Niemniej już w latach 60. XIX w. w Europie znano co najmniej 10 przypadków sztucznego zapłodnienia in vivo zakończonych narodzinami. W 1877 r. taką formę poczęcia potępił papież Pius XI, który miał nazwać ją „wstrętną” i „obrzydliwą”. Papieskich ostrzeżeń nie wystraszyli się Anglicy i Rosjanie. Pierwsi w Cambridge pod kierownictwem pioniera medycyny rozrodczo Waltera Heapa dokonali w 1890 r. pierw-



• Zespół prof. Mariana Szamatowicza (siedzi), który w 1987 r. dokonał pierwszego w Polsce zapłodnienia metodą in vitro. Stoją od lewej: Jerzy Radwan, Marek Kulikowski, Waldemar Kuczyński, Sławomir Wołczyński i Euzebiusz Sola. FOT. PIOTR MECIK / FORUM



• Prof. Marian Szamatowicz i pani Magda, pierwsze polskie „dziecko z probówki”, podczas konferencji poświęconej sztucznemu zapłodnieniu zorganizowanej w Białymstoku w listopadzie 2012 r.

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZAPL

szego udanego transferu zarodka – ciężarnej królicy rasy belgijskiej przeszczepili zarodek rasy angorskiej. Później urodziły się z jednej samicy oba króliczki.

Rosyjscy badacze jako pierwsi stworzyli procedury gotowe do zastosowania w gospodarstwach rolniczych. Motorem tych prac był biolog Ilja Iwanow (1870-1932), absolwent Uniwersytetu Charkowskiego, który na przełomie XIX i XX w. stał się liczącym się na świecie ośrodkiem naukowym. Niestety, Iwanow był badaczem bez zasad moralnych, rasistą i na poważnie planował zapłodnienie czarnoskórej kobiety nasieniem małpy. Bolszewicy uznali jego prace za zbyt kontrowersyjne i zesłali go do Kazachstanu. Mimo to podkreśla się, że działania Iwanowa legły u podstaw m.in. współczesnych technologii sztucznego zapłodnienia krów.

ŁOWCZYNI JAJ

Kluczowe dla wynalezienia metody in vitro, czyli „w szkle”, zapłodnienia poza organizmem, okazały się dokonania Niemca Adolfa Butenanta (1903-95) oraz Amerykanina Edwarda Adelberta Doisy'ego (1893-1986). Pod koniec lat 20. XX w. niezależnie opisał pierwszy z kobiecych hormonów płodności, estrogen. Nazwa pochodziła od greckiego słowa „oestros” oznaczającego okres rozrodczej gotowości samic i „genos”, ród, potomstwo.

W 1934 r. amerykański badacz, z pochodzenia lotewski Żyd, Gregory Goodwin Pincus (1903-67) pobrał komórkę jajową królicy i umieścił w preparacie z soli fizjologicznej i estrogeniu. Tam dodał plemniki samca, po czym wszczepił do macicy. Na świat przyszedł króliczek, ale nie uznano go za pierwszego w historii ssaka in vitro. Wyliczono, że Pincus przeniósł preparat za wcześniej i do zapłodnienia doszło w organizmie, a więc in vivo. Mimo to w mediach było o tym głośno. Naukowiec spotkał się z ostracyzmem, zwolniono go z Harvardu i zajął się antykoncepcją hormonalną – pa-

miętały go jako twórcę „the pill”, czyli pigulki antykoncepcyjnej.

Najbliżej in vitro był amerykański duet – John Rock (1890-1984) i Miriam Menkin (1901-92). On – uznany położnik i ginekolog, a przy tym gorliwy katolik, za cel postawił sobie pomoc kobietom niemogącym zająć w ciąży. Ona – wcześniej techniczka u Pincusa, także z Łotwy, przyjęła propozycję Rocka, gdy na jej szefa spadło społeczne odium. Od 1938 r. eksperymentowali z technikami poboru materiału u człowieka. Nasienie dostarczali im studenci, komórki jajowe pozyskiwali od kobiet operowanych w klinice. Menkin, która nazywała siebie „łowczynią jaj”, ukula powiedzenie: „Znajdź jajo we wtorek, dodaj spermy w środę, módl się w czwartek, a przez mikroskop obserwuj wyniki w piątek”.

Do zapłodnienia doszło w 1944 r., choć wyniki nie zostały odpowiednio udokumentowane. Poza tym zarodek nie był przeszczepiany do macicy i nie planowano nawet implantacji. Eksperyment był bardzo drogi, Menkin z przyczyn finansowych nie udało się dokończyć doktoratu i duet zawiesił pracę. Można jednak uznać, że Rock i Menkin odpowiadają za pierwsze zapłodnienie in vitro ludzkich komórek.

LOUISE ZE SŁOIKA

W połowie XX w. udało się zapłodnić pozaustrojowo komórki królika, później wszczepić zarodek do macicy, tak aby się zagnieżdżył – w efekcie na świat przyszły zdrowe oseski. W kolejnej dekadzie opracowano leki stymulujące płodność oraz umożliwiający drobne sterowanie owulacją. Wystarczyło, aby w drugiej połowie lat 60. kilka zespołów z całego świata podjęło się prac nad zapłodnieniem in vitro u człowieka. Zespołów z Polski w tym gronie nie było.

W latach 70. prasa typowała, że pierwszy człowiek z zarodka zapłodnionego poza organizmem urodzi się w Australii. Ale najszybsi okazali się Anglicy: biolog Ro-

bert Edwards (1925-2013), ginekolog Patrick Steptoe (1913-88) i embriolożka Jean Purdy (1945-85). Pierwszy na przełomie lat 60. i 70. w Cambridge opracował skuteczną technikę in vitro dla ludzkich komórek. Ale zaczęły się mnożyć problemy, agencja finansująca odmówiła wsparcia, a przeciwnicy sztucznego zapłodnienia zaczęli wytaczać procesy. Edwards zgłosił się wtedy do Steptoe, który w Oldham pracował jako ginekolog i doskonalił techniki laparoskopowe, czyli operował za pomocą rurki z przyrządami chirurgicznymi oraz lampką i wziernikiem, dzięki czemu zabieg był mniej inwazyjny. Laparoscopia dawała też dużo większą precyzję, co było arcyważne nie tylko podczas zapłodnienia, ale i pobierania komórki jajowej, a później implementacji zarodka.

W zespole potrzebny był jeszcze technik, który rozumie procesy fizjologiczne. Idealna okazała się pielęgniarka, a przy tym skrzypaczka, 25-letnia Purdy. Tak powstał zespół odpowiedzialny za narodziny pierwszego „dziecka z probówki”. W rzeczywistości był to stoik, do którego trafiły komórki jajowe. Przez lata nie udawało się utrzymać zapłodnionego zarodka i dopiero komórka pobrana od Lesley Brown okazała się tą właściwą. Państwo Brown od dekady starali się o dziecko, ale z powodu niedrożności jajowodów skazani byli na niepowodzenie. W listopadzie 1977 r. od małżeństwa pobrano materiał i dokonano in vitro. Pierwszą osobą, która widziała podział komórki, czyli de facto potwierdziła zapłodnienie, była Purdy. Następnie wszczepiono zarodek i 25 lipca 1978 r. metodą cesarskiego cięcia przyszła na świat Louise Brown.

POCZĄTEK KOŃCA PROBLEMÓW

Katie Dow, antropolożka z Cambridge, przeanalizowała, jak media przyjęły te narodziny. Brytyjskie podkreślały epokowość wydarzenia i nawet konserwatywne wychwalały angielską naukę. Atmosferze uległ sam Edwards, który dla „Timesa” mówił: „Po raz pierwszy rozwiązaliśmy wszystkie problemy, natychmiast i za jednym razem. Jesteśmy na początku końca, a nie na końcu początku”.

Nawet duchownicy anglikańscy i katolicy wstrzymali się z krytyką, przyjmując narodziny Louise co najmniej zycziwie. Sam kardynał Albino Luciani, tuż po wyborze na papieża, jeszcze przed rozpoczęciem pontyfikatu jako Jan Paweł I, wysłał na ręce państwa Brown „najlepsze życzenia dziecku”.

Już 67 dni po narodzinach małej Louise przyszło na świat indyjskie dziecko z in vitro. Twórca tego sukcesu Subhash Mukherjee nie był osobą medialną i świat nie wiedział o jego dokonaniach. Prowadził badania w Kalkucie, ale władze Bengalu Zachodniego zrobiły wszystko, żeby je ukryć. Jego samego postawiły przed komisją, oskarżając o naruszanie norm etycznych. W 1981 r. Mukherjee popełnił samobójstwo, w liście pożegnalnym napisał: „Nie mogę codziennie czekać, aż zabije mnie zawal serca”.

Za to dziewczynka, która się wtedy urodziła, już w XXI w. jako 25-latką publicznie podziękowała Mukherjeemu.

W Australii dziecko z in vitro przyszło na świat w czerwcu 1980 r., a kolejne już w maju następnego roku. W grudniu 1981 r. do grona państw, które w praktyce zweryfikowały procedurę zapłodnienia pozaustrojowego, dołączyły Stany Zjednoczone, a w 1982 r. Francja, Niemcy, Austria i – co dla nas będzie szczególnie ważne – Szwedzi.

PAPIEŻ POLAK ZMIENIA KURS

Równocześnie zmieniło się postrzeganie in vitro przez Kościół katolicki. Kolejny papież Jan Paweł II najpierw powtórzył tezy z encykliki „Humanae vitae” Pawła VI, który stwierdził, że „Nigdy nie wolno, nawet dla najważniejszych przyczyn, czynić zła, aby wynikało z niego dobro”.

W kolejnych dokumentach papież Polak odniósł się wprost do in vitro. Stanowisko to – czytamy u prawnika współpracującego z katolickimi mediami Krzysztofa Jankowiaka – zasadza się na trzech argumentach. Po pierwsze, w procedurze „in vitro (...) ma (...) miejsce oddzielenie prokreacji od aktu małżeńskiego”. Po drugie, dochodzi do „zabijania embrionów” i „jest to bezpośrednio naruszenie piątego przykazania” – „nie zabijaj”. Trzecim argumentem jest „wystawienie embrionu na ryzyko rychłej śmierci”, co również interpretowane jest jako występ przeciw bożemu planowi.

Jednak prof. Szamatowicz wytłumaczył nam, że wcale nie rzadko w organizmie kobiety pojawia się pusty pęcherzyk. Powstaje on w efekcie klasycznego zapłodnienia, komórki zaczynają się dzielić, ale procesy ustają i dochodzi do wchłonięcia zarodka lub poronienia. Naukowcy szacują, że pusty pęcherzyk jest przyczyną 50 proc. poronień. Wypisz wymaluj – procesy obserwowane również podczas in vitro, ale teologdy musieli o tym nie wiedzieć.

IN VITRO W DEMOLUDACH

Podlaskie dzieje in vitro można zestawzić z analogicznymi dokonaniem w państwach bloku komunistycznego. Sukces prof. Szamatowicza nie był pierwszy – w światowej czołówce uplasowała się Czechosłowacja, która była dziewiątym krajem, w którym narodziło się „dziecko z probówki”, tuż za Szwecją i Austrią. Dokonali tego naukowcy z Brna, a nie stołecznej Pragi, 4 listopada 1982 r. Ojcami sukcesu byli embriolog Milan Dvořák i ginekolog Ladislav Pilka.

W październiku 1984 r. we wschodnim Berlinie urodziły się bliźniaki. W ZSRR dopiero w 1986 r. – najpierw w Moskwie, a później Leningradzie – świętowano sukces. Pod koniec tego roku do tego grona dołączyła Kuba, a po pół roku Jugosławia, gdzie cztery miesiące wcześniej niż w Białymstoku urodziło się dziecko z in vitro.

Stolica Podlasia fetowała przyjęcie na świat Magdy, pierwszego polskiego „dziecka z probówki”, 12 listopada 1987 r. Po Polakach w 1988 r. byli Bułgari i Chińczycy, zaś rok później – medycy z węgierskiego Peczu. Albania, Rumunia, Wietnam i Korea Północna w tym wyścigu nie uczestniczyły.

Nie tylko w Polsce, ale i w Czechosłowacji czy na Węgrzech pierwsze zapłodnienie in vitro przeprowadzono na prowincji. Białostocka akademicka medycyna miała szczęście do świetnych ginekologów i położników. Założona w 1950 r. m.in. przez medyków ze Lwowa i z Wilna, była budowana odgórnie, decyzjami ministra zdrowia. Delegował on na Podlasie m.in. ginekologa Stefana Soszkę, którego portret wisi dziś w gabinecie Szamatowicza.

Soszka zwykł mówić: „W naszej pracy najważniejsza jest pacjentka. I bida temu, kto dla tego celu nie starałby się poszerzać swojej wiedzy, zdobywać nowych doświadczeń i »stawić pytań przyrodzie«”.

Za jego czasów w Białymstoku przez kilka lat pracowała m.in. Michalina Wiśłocka, z wykształcenia położniczka i ginekolożka.

BĘDZIEMY ROBIĆ IN VITRO!

Próbowałam wyciągnąć z prof. Szamatowicza, dlaczego zajął się in vitro. Pochoodzi z wielodzietnej rodziny ze Sztabina na Podlasiu, religijnej, mógł zostać nawet księdzem. Chcieliśmy poszukać ukrytych motywacji, ale profesor odrzucał sugestie i wylizwał kamienie milowe w swojej pra-

cy. „Zakończyłem”, „rozpocząłem”, „specjalizowałem się” itd. Nic niezwykłego, logiczne, spójne i konsekwentne. Jedyne ginekologia była dziełem przypadku.

Do kliniki położniczej sziął Szamatowicza jej ówczesny szef, prof. Aleksander Krawczuk, który dostrzegł drzemający w nim talent. Niebawem poproszono Szamatowicza o udział w konferencji za niedysponowanego kolegę i tak, niejako w zastępstwie, zajął się badaniem chorób żeńskiego układu płciowego.

Później tłumaczył dla siebie i kolegów zagraniczne artykuły i jako ten, który zna języki, jeździł na stypendia. Nie oznacza to, że skumał się z władzą; stronił m.in. od ZMP i dlatego dwukrotnie nie dostał się na studia. Powód wyjazdów był inny. Decydenci mieli świadomość, że białostocka akademicka jest niezbędna dla regionu, miała więc fundusze i mogła wysłać pracowników na staże. Szamatowicz znalazł się w gronie młodych fachowców, na których postawili Krawczuk i Soszka.

Był więc Szamatowicz w 1968 r. w Paryżu i przy okazji stażu oglądał młodzieżową rewoltę. Później jeździł już jako profesor wizytujący i w połowie 80. trafił do Szwecji, najpierw do Lund, a później Göteborga. Tam zetknął się z procedurami in vitro i przekonał, że sekret tkwi w technologii, owych drobnych laboratoryjnych trikach i patentach, oraz samej aparaturze. Białostoczanie już wcześniej eksperymentowali z mikrooperacjami ginekologicznymi, ale zamiast mikroskopów używali lup. Przełom nadszedł w 1984 r., kiedy Szamatowicz został szefem ginekologii i położnictwa w akademii. Powiedział wtedy do podwładnych: „Słuchajcie, będziemy robić in vitro!”.

Tymi współpracownikami, bez których nic by się nie udało, byli młodzi lekarze, dziś uznani profesorowie Sławomir Wolczyński, Waldemar Kuczyński, Jerzy Radwan, Marek Kulikowski oraz świetny klinicysta Euzebiusz Sola. Szamatowicz pozyskał środki z ministerstwa i zespół rozpoczął prace. Ale o finansowanie wystarali się też warszawiacy i bydgoszczanie, którzy także chcieli robić in vitro.

NAJPIĘKNIEJSZY KRZYK

Dużą rolę odegrał nowy sprzęt, jaki białostocka klinika otrzymała od... Jana Pawła II. Dzięki niezwykle drogemu ultrasonografowi można było pobierać komórki jajowe bez udziału laparoskopii. Członkowie zespołu wyjeżdżali za granicę do ośrodków, gdzie urodziło się już dziecko z in vitro. W nocy „Ludzie profesora Szamatowicza” na stronach Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku znajdziemy wywiad z prof. Radwanem, który po pobycie we Francji „mógł pewne rzeczy przywozić”, bo jak wspomina, „w Polsce przygotowania do zapłodnienia pozaustrojowego to było nie tylko wyzwanie naukowe, ale przede wszystkim logistyczne”, i dodaje: „Gdyby ktoś sfilmował całą historię dochodzenia do pierwszego in vitro w Polsce, to powstałby film o profesorze Szamatowiczu i jego zespole wcale nie mniej fascynujący niż »Bogowie« o prof. Relidze”.

Dobrze specyfikę tamtych czasów oddaje relacja Kuczyńskiego. „Niczego nie można było kupić – wspomina profesor – więc wszystko robiliśmy sami, np. sami produkowaliśmy wodę”. Badali wybrane studnie, później w 200-litrowych beczkach przywozili wytypowaną wodę do laboratorium i „po około 20 tygodniach z jednej beczki [uzyskiwali] 100 ml naprawdę czystej wody, z której [przygotowywali] odczynniki”. Kuczyński zajmował się też wymyśleniem i wytwarzaniem „igieł punkcyjnych, zestawów do pobierania komórek jajowych [czy] kateterów do transferu zarodków”.

Par zgłaszających się do eksperymentalnej terapii nie brakowało. Była dziew-

czyna – wspomina Szamatowicz – „która miała zapalenie wyrostka robaczkowego powikłanego zapaleniem otrzewnej (...) miała zrosty (...) wiadomo było, że ta dziewczyna nigdy nie będzie mogła być matką”. Inna „dwukrotnie miała ciążę pozamaciczną, straciła dwa jajowody, a przez to także szanse, by zostać matką”. I dla nich pojawiła się nadzieja.

Niestety, wciąż nie udawało się zapłodnić poza ustrojem komórki jajowej i utrzymać zarodka. Szamatowicz uważa, że przyczyną były niewłaściwe „media”, a więc środowisko, w jakim poza organizmem umieszcza się, zapładnia komórkę jajową i gdzie dochodzi do pierwszych podziałów zarodka. Dopiero po miesiącach eksperymentów z mediami się udało. Dawczyni szczęśliwej komórki „miała uszkodzone jajowody i jedyną szansą na potomstwo było zapłodnienie pozaustrojowe”.

„Pacjentka zgłaszała się na kontrolę – mówił Szamatowicz rzeczniczce białostockiej uczelni Katarzynie Malinowskiej-Olczyk – ta ciąża była, można powiedzieć, wychuchana (...) dostąpiłem tego zaszczytu bycia przy narodzinach tej dziewczynki. (...) krzyk tego dziecka był najpiękniejszą muzyką”.

ATAKI Z AMBONY

Głosy sprzeciwu dało się słyszeć zarówno ze strony kościelnej, głównie katolickiej, i w mniejszym stopniu prawosławnej, jak i od przedstawicieli establishmentu. Ci drudzy nie potraktowali in vitro jako procedury leczniczej i próbowali ją uregulować za pomocą ustaw dotyczących procedur kosmetycznych. Odzwierciedleniem tego będą akty prawne powstające już po 1989 r. i dopiero w ustawie z 2001 r. o kosmetykach znajduje się zapis będący próbą wyplątania się z niewygodnej sytuacji („przepisów ustawy nie stosuje się do (...) wyrobów medycznych do diagnostyki in vitro”).

Najgłośniejsi sprzeciwiali się księża z ambony. Przywoływane już trzy argumenty papieskie ograniczano do jednego i żądano, aby wykonawcy procedur in vitro przestali „zabijać nienarodzone dzieci”. Kwestionowano też „prawo do posiadania potomstwa”, na które powoływał się Szamatowicz, cytując art. 16 uniwersalnej deklaracji praw człowieka („Mężczyźni i kobiety (...) mają prawo (...) do zawarcia małżeństwa i założenia rodziny” oraz „Rodzina (...) ma prawo do ochrony ze strony społeczeństwa i państwa”). Katolicy demagogi sprowadzali to do prawa do prokreacji, a kwestię rodzicielstwa pozostawiali w gestii Boga. Prawosławni duchowni okazali się tu mniej radykalni i do niedawna jeszcze nie potępiali in vitro.

Fala krytyki, jaka zalała białostocką klinikę, okazała się tyleż spektakularna, co naskórkowa. Prof. Szamatowicz zaskłaniał się tajemnicą lekarską i nie podaje konkretnych, ale wspomina osoby, które oficjalnie go krytykowały, a w tajemnicy poddawały się zapłodnieniu pozaustrojowemu. Takich przykładów było kilka. Po udanych narodzinach „dzieci z probówki” tłumaczyli swoje szczęście boską ingerencją. Profesor, choć z gorliwego katolika przedzierzgnął się w agnostyka, nie próbował ich przekonywać, że jest inaczej.

Przywoływana na początku Halinka ma nadzieję, że czas Podlasia, którego symbolem był Szamatowicz, nie minął. Media podały niedawno, że Uniwersyteckie Centrum Onkologii w Białymstoku zostało wyróżnione certyfikatem „Excellence” za efekty leczenia raka trzonu macicy. Takich ośrodków w Europie, z Białymstokiem, jest siedem; w tym gronie oprócz Rzymu, Paryża, Berlina, Mediolanu i Bolonii jest także czeska Ostrawa. Czyżby historia zataczała koło? ●

Andrzej Krawczyk

K

Komunikat Biura Episkopatu Prawosławnej Cerkwi w Moskwie z 8 czerwca 2023 r. informował, że przy pomocy Kościoła prawosławnego zwolniono z rosyjskiej niewoli 11 ukraińskich jeńców i przekazano ich na Węgry. Ta, wydawałoby się, pozytywna informacja rozpoczęła dyplomatyczny spór węgiersko-ukraiński. Strona węgierska ogłosiła, że zwolnieni to zakarpaccy (a więc jakby nieukraińscy?) jeńcy, z których część ma węgierskie obywatelstwo. Zapowiedziała, że szczegóły sprawy wyjaśni na konferencji prasowej w Budapeszcie.

Oburzone ukraińskie władze i media podejrzewały, że rząd Viktora Orbána chce nie tylko zademonstrować troskę o „wszystkich Węgrów” niezależnie od tego, jakiego państwa są obywatelami, ale i pokazać, że przynależność Zakarpacia do Ukrainy ma charakter czysto formalny. Ukraińcy obawiali się nawet, że Węgrzy zainspirują jeńców, by wystąpili o azyl. Kijów uznał to działanie za naruszenie konwencji o prawach człowieka i współpracę z rosyjskim agresorem. MSZ protestował przeciw „wywiezieniu ukraińskich obywateli na terytorium państwa trzeciego i przetrzymywaniu ich tam siłą”.

Zapowiedziana konferencja się nie odbyła. Węgry zwolnili po kilku dniach trzech żołnierzy, a później jeszcze dwóch, wrócili oni na Ukrainę. Jakie są plany wobec sześciu pozostałych, nie wiadomo.

Przy okazji afery z jeńcami świat dowiedział się o istnieniu Rusi Karpackiej, która dziś znajduje się w granicach Ukrainy, ale kiedyś stanowiła terytorium Czechosłowacji, a najdłużej Węgier.

KRAINA GÓR I STRUMYKÓW

Do Królestwa Węgier ten skrawek wschodniej Europy należał od X aż do XX w. W XVI-XVII w., gdy większość Węgier była podbita przez Turków, wschodnią część regionu należała do Księstwa Siedmiogrodu, wasalnego państewka imperium osmańskiego. Oblast, czyli obwód (ukraińska nazwa województwa) odpowiada mniej więcej byłemu węgierskiemu komitatowi (węgierskiemu województwu) Ung, w którym w 1900 r. mieszkało 524 tys. ludzi – 56 proc. mieszkańców było Rusinami, 22 proc. Węgrami, 15 proc. Żydami, 5 proc. Niemcami i 2 proc. Rumunami. W momencie wybuchu I wojny światowej aż 73 proc. mieszkańców było analfabetami. Kraj poddany był wówczas intensywnej madziaryzacji.

Dziś na Zakarpaciu mieszka jedynie 3 proc. ludności kraju, powstaje tam ledwie 0,5 proc. dochodu narodowego, co oznacza, że ma małe znaczenie dla Kijowa.

W Ukrainie żyje dziś 156 tys. Węgrów, z tego 97 proc. właśnie w Zakarpackiej Oblast. Tworzą tam 13-procentową mniejszość, zamieszkując w większości we wsiach przy granicy z Węgrami, gdzie stanowią około połowy mieszkańców.

Główne miasta to stutysięczny Užhorod i ponadosiemdziesiątysięczne Mukaczewo. Mniejsze Berehowo liczy 25 tys. mieszkańców, z czego 48 proc. to Węgrzy. Zapewne ze względu na odmienną języka węgierskiego oraz niski poziom wykształcenia ludność węgierska do dzisiaj słabo

asymiluje się z ukraińską większością. Zakarpacie jest góryste – znajduje się tu najwyższy szczyt Ukrainy – Howerla, 2061 m n.p.m. To nadal teren wiejski, nieurbaniizowany, dwie trzecie mieszkańców żyje w górskich wioskach w dolinach nad strumieniami bez połączenia między sobą.

RUTENI, RUTEŃCY, RUSINI

Słowo „Ruteni”, z którego wywodzi się nazwa Rusini, zostało po raz pierwszy odnotowane w 1089 r. Przez wieki nazywano tak zbiorczo grupy Słowian mieszkających na wschód od Polaków. Dalej mieszkali Moskowici, odróżniani już w XVI w. Grupa Rusinów nie była wyraźnie określona. Używała rozmaitych dialektów i raczej nie miała świadomości narodowej. Wielkie powstania Kozaków w XVII w. wybuchaly pod hasłami uzyskania praw szlachty.

Po upadku Rzeczypospolitej określenie Rusini zaczęło być używane w państwie Habsburgów jako nazwa grupy Słowian, nie-Polaków zamieszkujących wschodnią część Galicji i Bukowinę. Do języka administracji Austriacy wprowadzili w 1843 r. niemiecki termin Ruthenen na oznaczenie grekokatolików. Około 1900 r. zaczęto przechodzić na nową wersję tego słowa „Ukrainci”, chociaż narodowy wieszcz ukraiński Iwan Franko jeszcze w 1913 r. napisał utwór: „Ruteńcy: typy galicyjskich Rusinów”. W Rosji używano terminu Małorosjanie lub Małorusini, tworząc negatywne skojarzenie o wtórności idei ukraińskiej.

Termin Rusini był popularny wśród emigrantów w USA, gdzie poczucie odrębności od Ukraińców było silne. Na zjeździe założycielskim amerykańskich Rusinów Karpaczkich 24 lipca 1918 r. w Homestead w Pensylwanii w atmosferze „prawa narodów do samostanowienia” rozpatrywano ideę niepodległości Rusi Karpaczej, ale ostatecznie zjazd opowiedział się za przyłączeniem do Czechosłowacji, pod warunkiem nadania jej autonomii. Zapisało to 26 października 1918 r. w porozumieniu z czeskim przywódcą Tomášem Masarykiem. Na konferencji pokojowej w Wersalu je potwierdzono.

AUTONOMIA ZAKARPACKA

Po I wojnie światowej Ruś Podkarpacka stała się w Czechosłowacji odrębnym regionem administracyjnym, ale autonomii nie otrzymała. Międzywojnie było jednak dla niej czasem awansu, choć ubogi charakter regionu się nie zmienił.

Przywódcą miejscowych Rusinów został Awgustin Wołoszyn; grekokatolicki ksiądz i absolwent wyższej szkoły pedagogicznej w Budapeszcie. Przez ponad 30 lat Wołoszyn wykładał (a od 1917 r. był dyrektorem) w seminarium nauczycielskim w Użhorodzie. Przygotował po rusińsku podstawy programowe do nauczania różnych przedmiotów oraz podręcznik dla nauczycieli. W maju 1919 r. na krótko został pierwszym przewodniczącym Centralnej Ruskiej Rady Narodowej.

Miesiąc wcześniej Czechosłowacja przystąpiła do wojny z Węgierską Republiką Rad, jaką prowadziła już Rumunia. Węgierska Republika Rad była swego rodzaju trikiem rządu węgierskiego, który nie chcąc podpisać kapitulacji przed państwami ententy oddał 21 marca 1919 r. władzę radykalnej lewicy i bolszewikom, twierdząc, że musi skapitulować przed rewolucją. Terror węgierskich komunistów przstraszyły Europę. Bolszewicki rząd Beli Kuna starał się bronić węgierskiego stanu posiadania w Siedmiogrodzie, a nawet zaatakował w czerwcu Słowację pod hasłem połączenia się z Rosją sowiecką.

Koalicja rumuńsko-czechosłowacka, wspierana przez Zachód (głównie Francję), rozbiła Węgierską Republikę Rad, a 3 sierpnia 1919 r. do Budapesztu wkroczyli Rumunii. Przez kilka miesięcy okupowali nawet całe Węgry z wyjątkiem rejonu je-



• Rok 1939, ulica w miasteczku Chust. Na jego przedmieściach Karpaccy Strzelcy Siczowi na kilka godzin zatrzymali Węgrów. Stąd w marcu 1939 r. ewakuował się do Rumunii rząd Ukrainy Karpaczej. FOT. FORTEPAN / PÁLFI ANDRÁS



Z dziejów pogranicza

W GÓRACH, NA RUSI

W Moskwie i Kijowie południowo-zachodni, graniczący z Węgrami i Słowacją skrawek Ukrainy nazywają Rusią Zakarpacką. W Pradze i Bratysławie – Rusią Podkarpacką. A miejscowi uważają, że żyją w Rusi Karpaczej.

ziora Balaton. Bela Kun uciekł do Wiednia, a później do Moskwy.

Czechosłowackie władze wybudowały w Użhorodzie kilkanaście budynków, które do dzisiaj są przedmiotem dumy i celem odwiedzin Czechów szukających satysfakcji ze śladów swej „misji cywilizacyjnej”.

SEN O PIEMONCIE

Po konferencji monachijskiej i oddaniu Sudetów Niemcom władze w Pradze

próbowały pozyskać lojalność Rusinów i 11 października 1938 r. powołały zapowiedziany w 1919 r. autonomiczny rząd Rusi Podkarpackiej. Został jednak odwołany już po 15 dniach za prowęgierską postawę. Drugim premierem został wspomniany Wołoszyn, a jedną z niewielu decyzji jego „rządu” o niewielkich kompetencjach była zmiana nazwy kraju na Ukraina Karpacka.

Aktywni politycznie miejscowi Rusini przy poparciu władz autonomicznych – ale też działaczy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów z Polski – przygoto-

wali się do realizacji marzenia o niezależnym państwie wywalczonym w drodze przewrotu zbrojnego. W listopadzie 1938 r. utworzyli paramilitarną organizację, którą nazwali Karpaccy Strzelcy Siczowi. Gdy OUN zorganizował we Lwowie manifestację z hasłami stworzenia samodzielnej Rusi Podkarpackiej, doszło do starć z policją. Władze OUN 19 grudnia 1938 r. powołały pełnomocnika do spraw Ukrainy Karpaczej, którym został Roman Szuchewycz – późniejszy dowódca UPA. Jednocześnie został szefem sztabu (zastępcą dowódcy) Sicy. Szuchewycz agitował we wschodniej Małopolsce i na Wołyniu do wstępowania Ukraińców do Sicy Karpaczej. W lutym 1939 r. w jej obozach było 8-9 tys. słabo uzbrojonych i wyszkolonych ludzi. Dodatkowo około 2 tys. ochotników z Polski przedostało się do obozów w Czechosłowacji. Mieli nadzieję, że utworzenie państwowości ukraińskiej na Rusi Podkarpackiej będzie początkiem budowy wielkiej, zintegrowanej Ukrainy. Miała to być historyczna analogia do budowy państwa włoskiego, zaczynającej się od Piemontu.

KONIEC MARZEŃ

Kiedy III Rzesza rozpoczęła likwidację Czechosłowacji (na 13 marca 1939 r. wezwany był do Berlina w sprawie utworzenia państwa słowackiego Jozef Tiso), w nocy z 13 na 14 marca siczowcy zaatakowali czeskie posterunki policji i jednostki wojskowe. W tym samym momencie, o piątej rano 14 marca, granicę Czechosłowacji przekroczyli Węgrzy, chcący jej upadek wykorzystać do zajęcia Rusi Karpaczej. Około południa na rozkaz z Pragi jednostki czechosłowackie (na Rusi stacjonowała cała dywizja) i czechosłowaccy policjanci zaprzestali walki i przez Słowację zaczęli wracać do Czech. Natomiast siczowcy próbowali powstrzymać wkraczających Węgrów, lecz nie mieli szans w starciach z regularnym wojskiem.

Nad ranem 15 marca Awgustin Wołoszyn ogłosił przez radio niepodległość Ukrainy Karpaczej i wysłał telegramy do Hitlera i króla Rumunii Karola II z prośbą o pomoc i opiekę. Niemcy odmówili walki z Węgrami, a Rumunii w ogóle nie odpowiedzieli. Węgrzy obsadzali kolejne wsie i gminy. Siczowcy na dwie godziny zatrzymali ich na przedmieściach Chustu, stolicy regionu. Węgrzy użyli artylerii i 16 marca rano – nieco ponad dobę od ogłoszenia niepodległości – rząd Ukrainy Karpaczej musiał opuścić Chust, a następnego dnia przeszedł do Rumunii.

Państwo rusińskie zanikło, choć grupy siczowców broniły się jeszcze dwa dni. Po południu 16 marca oddziały węgierskie doszły do polskiej granicy. Na Przełęczy Wereckiej w Bieszczadach Wschodnich (ok. 30 km od krańca dzisiejszych polskich Bieszczad), w miejscu granicy galicyjsko-węgierskiej sprządk 1914 r., doszło do uroczystego spotkania polskiego generała Mieczysława Boruty-Spiechowicza i węgierskiego Eleméra Gorondyego-Nováka oraz symbolicznego odtworzenia polsko-węgierskiej granicy.

MITOLOGIA NA PRZEŁĘCZY

Przelecz Werecka to ważne miejsce w węgierskiej mitologii. Według legend to przez nią w 896 r. plemiona mađziarskie idące znad górnej Wołgi i Kamy dotarły do Kotliny Panońskiej. Europejską prasę obiegły zdjęcia ściskających się polskich i węgierskich żołnierzy.

Pół roku później wszystko się zmieniło – Polska po napaści Trzeciej Rzeszy poniosła klęskę, ale dzięki istnieniu tej granicy ewakuowało się na Węgry około 100 tys. żołnierzy, którzy spędzili tam wojnę w obozach internowania. Wielu, dzięki przychylności Węgrów, uciekło do wojska polskiego we Francji.

➤ We wrześniu 2009 r. pod patronatem kombatanów UPA na Przełęczy Wereckiej odbył się – jak informowali Ukraińcy – symboliczny „pogrzeb szczątków 10 strzelców siczowych rozstrzelanych w marcu 1939 r. przez polskich żandarmów”. Nie ma w źródłach śladu po tym wydarzeniu ani szczegółów pochówku, co prowokuje zarzuty o kreowanie historycznej rzeczywistości w celach propagandowych.

W październiku 2017 r. z udziałem ówczesnej wicepremier Ukrainy Iwanny Klympusz-Cyncadze na przełęcz odsłonięto obelisk upamiętniający „600 strzelców siczowych wydanych Polsce przez Węgrów i rozstrzelanych przez polskich pograniczników”. Takiego wydarzenia również nie odnotowali historycy żadnej ze stron, należy określić je jako mit wytworzony na użytek „patriotycznej polityki historycznej” części środowisk ukraińskich.

W źródłach węgierskich można natomiast znaleźć informację o 170 schwytych strzelcach siczowych, których jako polskich obywateli przekazano na nową granicę władzom II Rzeczypospolitej. Nie wiadomo, jakie były ich dalsze losy.

RUŚ SOWIECKA

Latem 1944 r. Ruś Podkarpacką zajęła Armia Czerwona. Niezależnie od stanu praw-

nego Sowieci traktowali jej terytorium jak swoje, przeprowadzając na nim m.in. pobór do wojska. Próby odtworzenia instytucji czechosłowackich i przyjmowania ochotników do walczącego u boku Armii Czerwonej Korpusu gen. Ludwika Svobody zakończyły się rozpędzeniem tych instytucji, a nawet aresztowaniami.

Przywódcy rusińscy zostali wyłapani i w większości zabici w sowieckich więzieniach. Jedni zostali skazani na karę śmierci „za kolaborację z Horthym” (do 1944 admirał Miklós Horthy rządził Węgrami), inni, jak Wołoszyn, bez wyroku.

Prezydent Edvard Beneš – choć hasłem jego polityki była odbudowa Czechosłowacji w granicach przedmonachijskich – już w grudniu 1943 r. w Moskwie zgodził się ze Stalinem, iż „należy przystosować Ruś Podkarpacką do pozostałej Ukrainy”, czyli po prostu przyłączyć ten region do ZSRR. Formalną umowę w tej sprawie podpisano 29 czerwca 1945 r.

WYWODY ORBÁNA

Po przemianach politycznych na Węgrzech i w Ukrainie w latach 90. XX w. stosunki między oboma państwami były poprawne. Popsuły się w 2017 r., kiedy w Ukrainie za prezydentury Petra Poroszenki przyjęto ustawę o szkolnictwie, wprowadzającą obowiązkową naukę w języku ukraińskim od piątej klasy podsta-

wówki. Ustawę uchwalono z myślą o budowaniu tożsamości narodowej i w celu walki z dominacją języka rosyjskiego. Ale odbiła się też na szkolach mniejszości węgierskiej. Minister spraw zagranicznych Węgier Péter Szijjártó nazwał ją „wbiciem noża w plecy” jego rodakom żyjącym w Ukrainie. Od tego momentu Węgry utrudniały Ukraińcom negocjacje w sprawie wstąpienia do NATO.

Na Zakarpaciu wciąż dochodzi do antywęgierskich incydentów, m.in. palenia flag. Z kolei Węgry oskarżają Ukrainę o „międzynarodową kampanię kłamstw”.

Po agresji rosyjskiej na Ukrainę 22 lutego 2022 r. społeczeństwo węgierskie okazało spontaniczne poparcie dla Zakarpacia, traktując historyczne związki jako dodatkowy powód do działania. Z drugiej strony na początku 2023 r. czołowy dziennik węgierski „Magyar Hírlap” opublikował artykuł, w którym pojawiła się teza, że w Ukrainie rządzą „potomkowie faszystów”. Odtąd Kijów oficjalnie oskarża Budapeszt o uleganie rosyjskiej narracji.

Napięcie jeszcze wzrosło po oświadczeniu Orbána z kwietnia tego roku, że „Ukraina jest nieistniejącym ekonomicznie państwem”, które tak długo prowadzi wojnę z Rosją jedynie dlatego, że otrzymuje pomoc Zachodu. Stwierdził, że na jej wsparcie idą też pieniądze Węgrów, którzy wnoszą swój wkład do budżetu Unii Europejskiej. „Dlatego tym bar-

dziej szkoda, że węgierska mniejszość narodowa jest stale w Ukrainie uciskana” – skonkludował Orbán.

Władze węgierskie od lat wydają paszporty żyjącym w Ukrainie Węgom. Kijów jest tym oburzony. Fatalną atmosferę w stosunkach ukraińsko-węgierskich miała poprawić wizyta w Kijowie prezydentki Węgier Katalin Novák. Wśród członków Fideszu jej demonstracja poparcia dla Ukrainy wzbudziła jednak konsternację i krytykę. Być może dlatego na użytek węgierskiej opinii publicznej Novák zadeklarowała, że celem wizyty jest wsparcie Węgrów żyjących na Zakarpaciu.

Z kolei Orbán 5 maja stwierdził w radiu Kossuth, że Węgrzy są najbardziej zainteresowani zawarciem pokoju, „ponieważ część Ukrainy to stara węgierska ziemia, która aktualnie należy do Ukrainy”.

W czerwcu węgierskie media doniosły o rzekomym planie Kijowa wyniszczenia ukraińskich Węgrów poprzez ich mobilizację i wysłanie na front pod Bachmutem. Użyły w tym kontekście zwrotu „ludobójstwo węgierskiej ludności”, co za granicą zostało uznane za niedopuszczalną, a nawet niesmaczną przesadę.

W połowie lipca węgierski MSZ poinformował, że prowadzi za pośrednictwem rosyjskiej Cerkwi negocjacje w sprawie uwolnienia następnej grupy ukraińskich jeńców z Zakarpacia – 10-15 żołnierzy, których na Węgrzech można oczekiwać w sierpniu. ●

Dawno nie dawno

Na ziemiach zachodnich

Pamięć o niemieckich mieszkańcach tych terenów jest w niektórych regionach wymazywana

Machcewicz



21 lipca minęło 75 lat od otwarcia we Wrocławiu Wystawy Ziem Odzyskanych. Zwiedzający ją mogli zapoznać się z historią Śląska i innych terenów poniemieckich, ale tak skonstruowaną, by budować przekonanie o wielowiekowej tradycji polskości na tych ziemiach i walce z niemiecką ekspansją. Przedstawienie trzyletnich osiągnięć Polski Ludowej w odbudowie ze zniszczeń wojennych i zagospodarowywaniu tych terenów miało wydzwięk propagandowy: dowodziło, że stały się już nierozdzieloną częścią państwa polskiego. W pawilonach można było obejrzeć np. taśmociąg transportujący węgiel wyrabiany przez walbrzyskich górników, wzorcowe gospodarstwo rolne i hodowlane, a także kupić (deficytowe skądinąd) wędliny, pończochy, meble czy kajaki.

Niestety, mimo prób budzenia narodowej dumy poniemieckie ziemie

przez kolejne dziesięciolecia pozostały niekochane przez przybyszów. Trudno się dziwić, biorąc pod uwagę skalę polskiej traumy wojennej, a potem przymusowej migracji z za Buga oraz niepewność co do trwałości nowych granic. Tę mieszkankę rozpaczy po utraconej ziemi, niechęci do zakorzenienia się w obcej i niezrozumienia niemieckiej kultury opisał przekonująco przed laty prof. Zdzisław Mach w książce „Niechciane miasta”. Dla podróżujących po tych terenach ważnej, bo pozwala zrozumieć, co się tu po wojnie stało. Tego lata wybrałam się na ziemie zachodnie dwukrotnie. Polski zachód jest krainą fascynującą, piękną, lecz naznaczoną dwoma kataklizmami, które wydarzyły się w ciągu zaledwie kilkudziesięciu lat.

Przejście wysoko rozwiniętych ziem nie zostało przez komunistyczną Polskę skonsumowane i pozostały one przez dziesięciolecia zaniedbane. Wrocławską wystawę była na pokaz. Po jej zamknięciu ziemie zachodnie stały się źródłem cegieł do odbudowy stolicy albo popadały w ruinę. Kute bałustrady pałaców i narzędzia rolnicze niszczały albo sprzedano je na złom, pałacowe parki wycinano na opał. Rósł głód mieszkaniowy, a ciągle problemy gospodarcze wymuszały pro-

jektowanie przede wszystkim ekonomiczne. Bloki z prefabrykatów budowano w miastach i na wsiach jak popadnie, bez troski o zachowanie układu ulic, placów czy proporcji w stosunku do sąsiadujących ocalałych kamieniczek i zabudowań folwarcznych.

Podróżowanie po tych ziemiach, mimo cudem zachowanych wiejskich i miejskich założeń urbanistycznych, pięknych ratuszów i kościołów (dolnośląski barok nie ma sobie równego w Polsce), jest bolesnym doświadczeniem. Dorobek cywilizacyjny niemieckiego Dolnego Śląska, okolic Zielonej Góry i Gorzowa czy Pomorza został bezpowrotnie zniszczony w latach PRL-u, a kolejną katastrofę spowodowała transformacja. Przyniosła upadek niedofinansowanych przez dziesięciolecia zakładów i nierentownych państwowych gospodarstw rolnych, likwidację publicznego transportu, masową emigrację za chlebem za zachodnią granicę. Dziś straszą ruiny opuszczonych fabryk, rozpadające się zabudowania dawnych PGR-ów i opuszczone stacje kolejowe.

Ale życie na tych ziemiach się odradza. Mimo blizn i zmian nie do naprawienia widać wyraźnie, że mają one właścicieli, którzy traktują je jak swoje i czują się u siebie. Wiele domów prze-

szło remont. Powstają hotele i pensjonaty, wytyczane są ścieżki rowerowe. Granica jest stabilna i bezpieczna, a dawne demony odeszły w przeszłość. A jednak pamięć o tej przeszłości nie wygłąda wszędzie tak samo. W miasteczkach i wsiach w okolicach Barlinka w województwie lubuskim w wielu miejscach można wyczytać przygotowane przez samorządy informacje o następującej po sobie niemieckiej i polskiej historii tych okolic, wymiennie ludności, przymusowej po obu stronach. W okolicach Łądka-Zdroju w Kotlinie Klodzkiej pamięć o niemieckich mieszkańcach jest na tym samym lokalnym poziomie konsekwentnie wymazywana. Przez stulecia ktoś tworzył dobrobyt materialny i kulturowy tych ziem, ale nie pada słowo „Niemcy”. Takie polonizowanie na siłę jest dowodem trwałości dawnych kompleksów i zapewne pozostaje w ścisłym związku z polityką (a konkretnie chyba z tym, kto sprawuje władzę w regionie), tak jak to miało miejsce podczas wystawy w 1948 r. Szkoda, bo po 78 latach przynależności tych ziem do Polski warto zrobić krok do przodu. ●

Anna Machcewicz – historyczka dziejów najnowszych, pracuje w Instytucie Studiów Politycznych PAN

Wkrótce

C.k. monarchia, nasz raj utracony

Jak Polacy, którzy byli elitą w monarchii Austro-Węgierskiej, poradzi sobie w niepodległej Polsce? Jak ją oceniali? – C.k. monarchia wydawała im się światem o wiele lepszym, spokojniejszym, co na gruncie psychologii nie jest czymś nadzwyczajnym. Dawny świat wciąż żył w przedmiotach, którymi się otaczano, w porównaniach, od których nie można było uciec, i we wspomnieniach z lat minionych – opowiada prof. Waldemar Łazuła, autor książki „Uwikłani w przeszłość”.

ALEHISTORIA

Redagują: Mirosław Maciorowski (redaktor naczelny), Igor Rakowski-Kłos
Zespół: Piotr Nehring, Włodzimierz Kalicki, Beata Maciejewska, Paweł Smoleński, Bartosz T. Wieliński, Józef Krzyk
Fotoedycja: Dominik Gajda; **korekta:** Sylwia Zalewska; **grafik prowadzący:** Łukasz Rudnikowski
Adres redakcji: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 66 00;
e-mail: alehistoria@wyborcza.pl; **internet:** wyborcza.pl/alehistoria.

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich skracania i redagowania. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.



Sprawdź prenumeratę cyfrową „Gazety Wyborczej”:
wyborcza.pl/prenumeratacyfrowa